



BIBLIOTEKA P II 641
Instytutu Badań
Literackich PAN

JEDNODNIÓWKA

UCZNIÓW PIERWSZEGO PAŃSTWOWEGO LICEUM I GIMNAZJUM
IM. JANA KASPROWICZA W INOWROCŁAWIU



1 9 I N O W R O C Ł A W 4 6

CENA 15 ZŁ

JEDNODNIÓWKA

UCZNIÓW PIERWSZEGO PAŃSTWOWEGO LICEUM I GIMNAZJUM
IM. JANA KASPROWICZA W INOWROCŁAWIU



1 9 I N O W R O C Ł A W 4 6

CENA 15 ZŁ

*P. Prof. ZENONOWI KOPCIOWI za pełną poświęcenia pomoc
w wydaniu „Jednodniówki“ oraz wszystkim autorom artykułów
składa serdeczne podziękowania*

*Zarząd Bratniej Pomocy
Samorządu Szkolnego i Państw.
Liceum i Gimnazjum im. Jana Kasprowicza
w Inowrocławiu*

Na okładce oryg. linoryt Stanisława Łuczaka

Wydawca: Bratnia Pomoc Samorządu Szkolnego i Państw. Liceum i Gimnazjum im. Jana Kasprowicza
w Inowrocławiu

Kolegium redakcyjne: Zygmunt Zbórucki — Krystyna Cichowska — Alojzy Kwarciański

Odbito w Drukarni pod Zarządem Państwowym Nr 1 w Inowrocławiu, Król. Jadwigi 7 — 12. 6. 46 — 527/46 — E 09314



Drzeworyt oryg. St. Łuczaka

Wrocław 1945-1946

Inauguracja nowego Liceum i Gimnazjum im. Jana Kasprowicza miała miejsce dokładnie rok temu. Już więc cały rok upłynął od chwili, kiedy poraz pierwszy po 6-cioletniej niewoli otwarły się podwoje naszego Zakładu dla przyjęcia polskiej młodzieży. Gdy przypomnimy sobie ów pamiętny w dziejach naszej szkoły dzień 15. III. 1945, ogarnia nas pewnego rodzaju uczucie radości i zadowolenia, gdyż od tej chwili mogliśmy oficjalnie kształcić się pod kierownictwem polskich profesorów. — Jak wielkie było jednak nasze zdumienie, kiedy po zapoznaniu się z ówczesnym stanem i możliwościami naszego Zakładu przekonaaliśmy się, że nauka nasza będzie się odbywała początkowo w bardzo anormalnych warunkach. Zauważyliśmy częściowy brak przedwojennych profesorów, dowiedzieliśmy się, że musimy sami umeblować klasy, że z powodu braku podręczników będziemy musieli posługiwać się przede wszystkim notatkami. Nikt jednak nie załamał rąk. Wszystkim przyświecała pełna świadomość możliwości oficjalnego uczenia się i ta właśnie świadomość była bezpośrednim bodźcem do wyłożonej pracy organicznej nad uruchomieniem tak skomplikowanego aparatu, jakim jest nasza szkoła.

Pomagaliśmy więc naszym profesorom, ile nam sił i czasu starczyło, choćby przez noszenie ławek, stołów i krzeseł, znajdujących się w różnych punktach miasta, przez meblowanie klas i w końcu przez usilną pracę przy odbudowywaniu podstawowych organizacji szkolnych, jak „Bratnia Pomoc”, harcerstwo, G. K. S., P. C. K. itd.

Mimo licznych trudności przystąpiła młodzież z ochotą do pracy. Nie wszyscy jednak potrafili tak wówczas, jak zresztą jeszcze dziś, docenić pełni tego dobrodziejstwa, jakim jest oficjalna nauka w polskiej szkole. Nie pamiętali oni o młodzieży, która bodaj najwięcej przecierpiała i straciła przez sześć lat wojny, o młodzieży, która mimo zakazu uczyła się potajemnie i która nie chciała dopuścić do wyjałowienia umysłów. Wielu spośród nich oddało swe życie na ołtarzu wiedzy lub w walce za polską sprawę. Ci natomiast, którzy podczas wojny pobierali naukę potajemnie, którzy nieraz z narażeniem własnego lub profesorów życia zgromadzali się po prywatnych domach i którzy słuchali wykładów robiąc tylko podręczne notatki, ci doceniają w pełni to dobrodziejstwo i są z pewnością gorliwymi uczniami. Takimi powinni być jednak wszyscy i wszyscy powinni uszanować swych profesorów tak, jak oni w rzeczywistości na to zasługują.

Spójrzmy dziś w rocznicę otwarcia naszego Zakładu, w całoroczną przestrzeń, jaka nas dzieli od 15. III. 1945! Zmieniło się bardzo dużo na terenie naszej szkoły. Z najkrytyczniejszych nawet subiektywizmem musi każdy przyznać, że działalność naszego Zakładu dała bardzo pozytywne wyniki. — Nie będziemy wyliczali poszczególnych czynników składających się na udoskonalenie i znormalizowanie naszej pracy szkolnej. Najplastyczniejszym tego przykładem jest konsekwentne dążenie ze strony naszej Dyrekcji i Profesorów do jak najszybszego osiągnięcia przedwojennego poziomu, i bądźmy przekonani, że jeśli nadal z takimi wynikami będziemy postępowali naprzód jak dotychczas, to już niedługo Zakład nasz będzie miał jedno z przodujących miejsc w Polsce pod względem poziomu nauki, jak to było przed wojną. — To powinno stać się dążeniem nas wszystkich — dlatego współpracujemy z profesorami i dajmy ze swej strony maksimum wysiłku na jaki nas stać! Pamiętajmy też stale o tym, że przez pracę nad samym sobą, przez gorliwą naukę składamy niejako hołd tym młodym, którzy poświęcili swe młode życie dla Ojczyzny nie doczekali się odrodzenia Polski i możliwości kształcenia się, aby jej służyć. Przez naukę mamy stać się w przyszłości pożytecznymi obywatelami Polski. —

Dzięki nauce w końcu możemy być o ile nie wybitnymi uczonymi, to w każdym razie wartościowymi jednostkami, gdyż jeśli

....„Chcesz być czymś w życiu, to się ucz
Abyś nie zginął w tłumie;
Nauka to potęgi klucz,
W tym moc, kto więcej umie!...”

KAZIMIERZ PRACKI,
uczeń II kl. Lic. im. J. Kasprowicza.

Jan Kasprawicz

Wieczór nad Gopłem

*Już spadła lampa światów w oceanu piany,
Baldachim nad jej grobem zdobią zórz rubiny,
Już w gronie gwiazd-kochanek księżyc srebrno-siny
Przegląda się w kryształach pałacu Goplany.*

*Ty depeesz nad kaszmirskie piękniejsze dywany,
Lub zmysły poisz wonią majowej rośliny,
Kochance nuci piosnkę słowik wśród krzewiny,
Wietrzyk czasem po fali włosów muśnie łany.*

*Cudny wieczór! Śród takich uroków marzenia
Zaaje ci się, że jesteś na błoniach Edenu,
Że piłeś słodki nektar z źródła zapomnienia.*

*Rozkoszne te uczucia boleść ci uspiły,
Lecz większe ci się rodzą boleści w ocknięciu,
Przebudzisz się — przed tobą szarzeją mogiły!...*

HENRYK URBĄSKI,
uczeń IV kl. Gimn. im. J. Kasprawicza.

Wpływ ziemi Kujawskiej na twórczość Przybyszewskiego i Kasprawicza

Tak zespoliło się z tobą
o, ziemio, me życie, tak zrosło,
że byłbym bez ciebie, jak liche,
na wodę puszczone wiośło.

Jan Kasprawicz,

(Luźny fragment wśród rks. „Księgi
ubogich”)

Czarna, żyzna ziemia kujawska wydała pokole-
nia ludzi o twardych mięśniach, jasnym umyśle
i sercu. Wyszli z niej ludzie wielcy, co po całej
Polsce i po całym świecie jej tęsknotę i moc ży-
wotną roznieśli, wiecznie z nią sercem związani.

Każdy z nas słyszał napewno o dwóch naszych
wielkich pisarzach: Kasprawiczu i Przybyszewskim.
Utwory ich przesiąknięte są właśnie tym kujawskim
smętkiem, tęsknotą co w ból się zamienia, co do
obłędu dochodzi u Przybyszewskiego, a do mocy
cierpienia za całą ludzkość u Kasprawicza. Jeśli
chodzi o miejsce ich w literaturze, to należą oni do
okresu „Młodej Polski”, kiedy to zwalczając spo-
łeczne dążenia pozytywistów, zaczęto się upominać
o prawa jednostki, oswabadzano sztukę z pęt spo-
łecznych czy politycznych celów („sztuka dla
sztuki”).

Jednostką walczącą o prawa nowej sztuki
w przejściowym okresie „dekadentów”, był Stani-
sław Przybyszewski (1868—1927). Urodził się
w Łojewie, w pobliżu Gopła, gdzie ojciec jego był
nauczycielem wiejskim oraz pełnił funkcję organi-
sty. O wpływie środowiska, o duszy jego, którą
„od samego początku była skierowana w stronę naj-
wyższego napięcia bólu i tęsknoty” możemy się
dowiedzieć wiele z jego własnych słów w „Moich
współczesnych”.

„Nie ma chyba nic smutniejszego — pisze na
str. 8 i 9 — więcej monotonnego, większą melan-
cholią przesyconego, jak ta beznadziejna równina...
kiedy rozpoczynają rozorywać nagie rżyska... wśród
nagich mgieł i mżącego ciągle deszczu, — wtedy
dusza poczyna się skręcać, wić, kurczyć i chorzeć”.
A na str. 12 czytamy:

„Czy mógłbym mieć rozkoszniejszą muzykę nad
te wściekle harce, jakie nadgoplańskie wichry wy-
grywały na potwornych piszczałkach, szatańskich
fletach, waltorniach i fagotach, jakie się widuje na
obrazach van Aacka lub Brengla piekielnego?
A mózg ludzki nie zdołał jeszcze wymyślić instru-
mentów, które by mogły, choćby w najodleglejszym

przypomnieniu, oddać tę muzykę szalejącego Gopła, które mnie do snu kołysało!"

Nad Gopłem, w poszumie topoli i sitowia, przy falistych tonach kujawiaka rozdiła się bolesna tęsknota, która towarzyszyła Przybyszewskiemu w pierwszych młodzieńczych latach, w obłąkanym szale wypadków i w ciężkich zmaganiach duchowych.

Do gimnazjum uczęszczał Przybyszewski w Toruniu, później w Wągrówcu, następnie wyjechał do Berlina, gdzie studiował architekturę, potem medycynę. Nie był wytrwałym, gdyż nie skończył studiów, lecz rzucił się w wir kawiarnianej cyganerii literacko-modernistycznej, zaprzyjaźniając się z jej przedstawicielami, wywrotowcami „Młodych Niemiec”. Interesował się spirytyzmem, okultyzmem i teozofią, co utwierdzało go w przekonaniu, że stany podświadome, prainstynkty, zwłaszcza erotyczne, rządzą życiem człowieka i one właśnie powinny być głównym źródłem nowszej twórczości poetyckiej. Wnikanie w mroczne głębie psychiki ludzkiej, przypisywanie wielkiego znaczenia intuicji, to zasadnicze rysy twórczości Przybyszewskiego, które występowały również u innych wybitnych pisarzy współczesnych (jak skandynawski dramaturg Ibsen, lub powieściopisarze rosyjscy Tołstoj i Dostojewski, czy symbolista i nastrojowiec belgijski Maeterlinck).



St. Łuczak — Drzeworyt oryg.

Pierwsze swoje utwory, o charakterze studiów nad psychologią cierpienia, pisał w halucynacyjnym nastroju. Pisał je w języku niemieckim, a przełożone później na polski, miały przez pewien czas wielki rozgłos. (Np. „Totenmesse”, powieści: „Homo sapiens”, „De profundis”).

Krytyk literacki, Jan Lorentowicz, nazywa Przybyszewskiego „połamanym geniuszem”, charakteryzując w następujących słowach całokształt jego twórczości: „Dusza poety, obnażywszy się do naga, wchodziła w cienie zmysłów i już to ślepnąć zaczynała, już to dochodziła do omdlenia; teraz też sama dusza, przywdziawszy na się szaty idealne, patrzy na własną treść i szuka w niej harmonii...”

Utwory jego dzieli Lorentowicz na cztery rodzaje:

1. Programy sztuki o charakterze nienaukowym, lecz nastrojowym — „Confiteor”, włączone do książki „Na drogach duszy”.
2. Poematy prozą, sztuczne, monotonne i mgliste egzaltacje nastrojowe na temat miłosnych tęsknot — („Na tym padole płaczu”, „Androgyne”, „Requiem aeternam”, „Nad morzem”).
3. Powieści, przełożone przeważnie z niemieckiego, pełne wizjonerskich malowideł („Krzyk”).
4. Dramaty: „Dla szczęścia”, „Złote Runo”, „Goście”, „Matka”, „Śnieg”, „Odwieczna baśń”, „Gody życia”, „Śluby”, „Mściciel” — opiera się na Ibsenie i Maeterlincku.

Przybyszewski dość długo przebywał zagranicą, podróżując po Norwegii, Hiszpanii. Mieszkał pewien czas w Paryżu. W 1899 roku wraca jednak do Polski i zamieszkuje w Krakowie, później w Warszawie i Gdańsku. Jest on jakby ptakiem, któremu wszędzie jest źle, który nie ma stałego gniazda, który utworami swymi odbiegł daleko od rodzinnej wsi. Tkwi w nim jednak coś, co z tą wsią kujawską niewidzialnie go wiąże — tęsknota co od małego dziecka go trapiła, każąc mu z toruńskiego gimnazjum pieszo uciekać nad Gopło, co z dalekiej Norwegii gnała go do kraju. Sam Przybyszewski mówi w „Moich współczesnych”: „Co ja byłbym wiedział, jakie zdumiewające spostrzeżenia byłbym mógł zrobić, jakie niezwykle rzeczy przeżyć, gdyby nie ta chora tęsknota!... Żadna siła nie byłaby w stanie mnie powstrzymać, bym na święto Bożego Narodzenia nie miał przyjechać do domu rodzicielskiego”.

* * *

Inne drogi miał Kasprowicz, najwybitniejszy syn ludu kujawskiego. Te załamania, które u Przybyszewskiego wszczepiły się w krew umysłowości jako choroba — w twórczości Kasprowicza zrodziły zdrowy artyzm, potężną moc ducha. Może właśnie ten kontrast spowodował, że Przybyszewski otaczał Kasprowicza wielkim uwielbieniem, interesował się jego utworami i jego zasługą jest sformułowanie natury twórczości Kasprowicza. Przytoczymy jego słowa: „Jak dąb rozparł się w ziemi szerokimi korzeniami; nie z literatury, ale z ziemi macierzy ssie, czepie swoje soki; dlatego taki mocny, taki samolubny i taki smutny, ale smutkiem mocnych. On jeden... powrócił ziemi jej metafizyczny charakter, wyczuł jej ból i nim żyje; jej świętość jest jego religią, jej szła i rozpacz jego rozpaczą. I to jest najistotniejszym jego czynem, wyżyną umysłu i duszy, niedostępną dla zwykłego talentu”.

Zywiołem pracy duchowej Kasprowicza jest liryka. W każdym stanie lirycznym ścierają się dwa światy: wewnętrzne „ja” i świat zewnętrzny. Bierze wtedy udział cała podświadomość opierająca się głęboko na dzieciństwie, a nawet na życiu przodków, którego ślady dziedziczymy. Stąd — dzieciństwo i ziemia rodzinna musiały wyrzucić wielki wpływ na twórczość Kasprowicza. Urodził się w 1860 roku we wsi Szymborze. Pochodził z biednej rodziny chłopskiej, zdawna tam osiadłej, słynnej z zawadiactwa i bujnego temperamentu. Szymborze chlubi się odwiecznymi tradycjami i uchodzi za najstarszą wieś na Kujawach. W dzieciństwie już poznał poeta trud i surowość życia, kiedy to matka sadzała go w bruzdzie z kromką chleba w dłoni, a sama żęła i wiązała snopki na obcym polu. Życie domowe płynęło starym torłem słowiańskim, dając młodemu tę żywotną moc, tę wiarę i szlachetność, jaka odbiła się w jego dziełach. Z elementarnej szkoły szymborskiej idzie do gimnazjum w Inowrocławiu, a rodzice czynią nadzwyczajne wysiłki, aby go dalej kształcić. Warunki szkolne były dla Kasprowicza niezmiernie ciężkie, ze względu na ówczesną germanizację i na fakt, że dziecko chłopkiem w ówczesnych czasach było zjawiskiem rzadkim w szkole średniej. Już wtedy musiała w nim tkwić olbrzymia siła i harda duma, którą pozwoliła mu pokonać te trudności, a nawet zyskać po pewnym czasie przewagę duchową nad rówieśnikami. Zatargi z władzami szkolnymi zmuszały go do tu-

łaczki po innych gimnazjach, wreszcie w Poznaniu zdaje maturę. Następnie studiuje we Wrocławiu, gdzie pociąga go literatura, filozofia i nauki społeczne. W roku 1889 osiedla się na stałe we Lwowie. Zarabia tam pracą dziennikarską w „Kurierze lwowskim”. Przez swe artykuły staje się bojownikiem praw ludu i wyznawcą wiary w odrodzenie narodu przez lud. Duży wpływ wywarł na niego pobyt w Tatrach. — Poznaje również Alpy i zwiedza Włochy. W roku 1909 powołano go na katedrę literatury porównawczej we Lwowie. Jako znawca literatur obcych, położył niemałe zasługi przez przekłady dzieł literatury greckiej, niemieckiej, angielskiej, francuskiej i włoskiej.

W pierwszej fazie twórczości poety widać jeszcze wpływ romantyków oraz wpływy współczesnych prądów społeczno-pozytywistycznych. Stąd walka o społeczną sprawiedliwość i pierwiastek naturalizmu w opisach obrazów wiejskich. Należą tu „Świat się kończy”, „Anima Lachrymans”, „Bunt Napierskiego”, „Z chałupy” i „Z chłopskiego zagonu”.

Zarysowują się już jednak (w „Anima Lachrymans”): prometeizm, łaknienie miłości i dobra. Tu już uświadamia sobie poeta, — co znajdzie wyraz w jego twórczości —, że zło jest pierwiastkiem wiecznym, a cierpienie oczyszczającą siłą twórczą.

Druga faza obejmuje cykle: „Miłość”, „Krzak dzikiej róży” i „Ginącemu światu”. Znajdujemy tu rozpacz po śmierci ukochanej, rozterkę ducha szamocącego się między grzechem a świętością, wreszcie uspokojenie w panteistycznym zjednoczeniu się z miłością i duszą wszechświata. Cykl „Krzak dzikiej róży” stanowi zwrot od zagadnień społecznych do egotyzmu. Cykl „Ginącemu światu” składa się z hymnów: „Dies Irae”, „Święty Boże”, „Moja pieśń wieczorna” i inne. — Mówią one o beznadziejności dążeń ludzkich i niedościgłości szczęścia.

W „Dies Irae” przedstawia straszną grozę gniewu Bożego, zapowiadającego sąd ostateczny nad światem. Szalone — zbrodnicze namiętności miłości grzesznej.

„Święty Boże” — to bluźnienie buntownicze zarzucające Bogu obojętność, to znów rozpaczne wołanie o litość.

„Moja pieśń wieczorna” — głos duszy spragnionej miłości i pokoju.

„Salve Regina” — modlitwa udręczonych ludzi do Marii.

Wyrazem znużenia po hymnach, jest książka prozą „O bohaterskim koniu i walącym się domu”. Koń — autor poszukujący prawdy, prawda — walący się dom.

Trzecia faza, to ostatnie utwory. — Następuje w nich uspokojenie, pojednanie z Bogiem, pogodzenie się z życiem i światem. Należą tu cykle: „Chwile”, „Księga ubogich”, „Mój świat”, tragicomiczne misterium „Marchoń”.

W utworach Kasprowicza widzimy wielką zależność od ziemi kujawskiej, z której wyrósł poeta. Istnieje związek z przyrodą, krajobrazem kujawskim. W hymnie „Święty Boże, święty mocny”, wizje swojego końca zdobi Kasprowicza krajobrazem kujawskim, zapamiętanym z dzieciństwa. Myśl o śmierci kieruje poetę ku ziemi, gdzie pobłyскуje

„tęskniące jezioro” (Gopło). Jego życie poetyckie jest ciągłą męką — i od tej męki wybawić ma go grób w ziemi kujawskiej. Swoje życie poetyckie zawdzięcza Kasproviczowi w dużej mierze działaniu na duszę tego związku z ziemią. Stosunek jego do przyrody jest głęboko uczuciowy, nie jak w epoce romantyzmu wyłącznie artystyczny — jest metafizyczny.

W utworze „Przy szumie drzew” widzimy zespolenie z przyrodą i działanie muzyki na poetę. Czynnikiem twórczym poetów jest wielka panteistyczna tęsknota. I ta tęsknota wlewa się do duszy Kasprowicza z cichych pól kujawskich, rzecznych pobrzeży i chłopskich chat.

Łączy go z tą ziemią współzycie z otoczeniem. Życie wsi obrazuje osobny cykl poematów: „Hanka Olpińska”, „Z niw wielkopolskich”, „Z chałupy”, w których współczuje nędzy chłopskiej. Mówi, że w ludzkiej leży siła niespożyta.

Ziemia kujawska objawia się we wszystkich prawie utworach jej wielkiego syna, z niej czerpał poeta natchnienie, z niej wziął swą moc.

Kasprowicza pochodzi ze szczepu w Polsce najstarszego, który najczystej przechował krew słowiańską i ten to lud nad Gopłem, najwyżej stojący kulturą wśród szczepów zachodnio-słowiańskich, stworzył państwo polskie. Kasprowicza odkrył nam w sobie prąźródło duszy polskiej, ujawnił siłę twórczą naszego narodu.

Jan Kasprowicza

Poranek*

*Noc już kona, już zrywa gwiazdzisty się wianek;
Już kwiecie ginie z wiatrem, nikną gwiazdy w górze...
Znikły... jedna na niebios błękitnym lazurze
Rozlała blask jutrzienka — przeddniowy kaganek.
Patrząc w wodę, jak w lica kochanki kochanek —
Szczęśliwy... przecież nie wie, że miłości różę
Wnet zerwią i rozwieją wietrzyśka i burze...
Ach! cudny, choć zimowy, zawiał poranek.
Zgasła jutrznia, a słońce pośród zórz koralu
Stroi nagie drzew szczyty w tęczowe suknie,
Lub łamie swe promienie o kryształę fali...
Cicho wszędzie... Ni piosnki usłyszeć śród sióła,
Kra tylko, falę pchniętą o krę czasem huknie...
Smutno... smutno... a jednak — jak pięknie dokoła!*

*) Powstał prawdopodobnie 1878, pierwszy, drukowany wiersz poety

Wspomnienie

Mokrym, chłodnym gościńcem odchodziła parna noc, a po niej pospiesznie nastawał świt, który już bębnił w szyby i spotniałe dachy wiejskich domostw czerwonymi palcami dogasającego księżyca.

Od dalekich bydgoskich lasów pachniało żywicą i jakgdyby gorzkawym oparem niekoszonych leśnych polan, a sad, sad pachniał poprostu sierpniem, złotokorymi, śmiejącymi się śliwami, pięknymi gruszami wabiącymi swym wdziękiem przechodnia, napuszonymi jabłoniąmi i burzliwymi kępami porzeczek. Wszędzie unosił się subtelny zapach kwitnących wokoło kwiatów.

Ten wydłużony a niski dwórek, wychylający się zza winnej latorośli — to szkoła.

*

Zbliżała się godzina ósma. Jednym z okien wyskoczył na płytka, rosną murawę młody człowiek w kąpielówkach i pobiegł ku rzece pluszczącej opodał.

W niespełna kwadrans młody nauczyciel, wyglądający na lat dwadzieścia trzy najwyżej, w spodniach, w żółtawej koszuli i w półbutach na bosych nogach stojąc z papierosem w ustach przed wejściem do szkoły patrzył pilnie na drogę wiodącą do wsi, odległej o kilka stajów zaledwie. — Już od dwóch tygodni idzie pospieszny remont zdevastowanej przez Niemców szkoły. Budynek trzeba znowu zamienić na polską szkołę, którą landrat pismem z któregoś tam dnia 1941-go roku przeistoczył w wytwórnię octu, a młodzież polską od lat już trzynastu — w robotników.

Praca przy remoncie żwawo posuwa się naprzód. Już od dwóch tygodni nauczyciel pilnie patrzy rozskrzonymi ze wzruszenia oczyma w ulicę ku wsi. Choć wie, że jeszcze czas, ale dzień w dzień gna go tu pośpiech czynu, chęć jaknajspieszniejszej odbudowy, pragnienie i tęsknota owych sześciu jakby za mur wyrzuconych lat. Mignęła mu koszmarem w oczach wielka hala fabryczna w Schöntal. Przypomnił mu się szorstki głos niemieckiego fabrykanta, łajzącego bezustannie robotników polskich. Zamyślił się.

— Panie nauczycielu! — A to Józek Wasik, Pawlak, Piernik, Nowak.

Już się zaroilo w ulicy. Brzęczą łopaty, kielnie, kilofy. Nauczyciel z zeszytem w ręku przydziela prace:

Pierwsza grupa — sortowanie i czyszczenie cegieł. Druga — kopanie dołu na wapno. Trzecia — uprzątnięcie piwnic. Czwarta — lasowanie wapna. Piąta — donoszenie murarzowi cegieł i wapna. Szósta... Zdrowi, opaleni od słońca chłopcy, stoją w szeregu wyprostowani jak struny i patrzą wiernie, z oddaniem swemu młodemu polskiemu nauczycielowi w oczy. Jak dar jaki chwytają jego słowa, polskie, — wytęsknione słowa. To zrobić, to zrobić, wszystko, wszystko zrobić. W młodych, szczęściem napelnionych głowach szumi uciecha swojej

skiej mowy. Ten sad pamięta inną, groźną, nienawistną mowę, która jak razy z bicza spadała na pochylone w niewolniczej pracy głowy.

Gdy na rowerze nadjechał majster Patyna, praca już wrzała na dobre.

Dół wapienny gotowy. Do mleka podobny, gęsty płyn pieni się ściekiem z podłużnych, dymiących skrzyń. Wapno! Wapno! Uwaga!

Przy drugim dole kołyszają się drewniane kubły. Steżale wapno chlapiąc na wszystkie strony, wychlasta w górę. Do zaprawy! Rażno! Jeszcze łopata białego piasku! Jeszcze...

— Józek, Władek!

— Lechu, Andrzej!

— Chłopcy nie gońcie tak! Mniejsze tempo! — To nauczyciel tak woła do każdej grupy. — Tak nie można. Pomarnujecie się.

A oni nic. Śmieją się tylko, biegają, jak na ratowanie płonącej chaty. Śmieją się. Ale w tym śmiechu jest hardość i upór, odwieczny upór dostojnego pomorskiego ludu. Biegają i tłoczą się, i zde-rzają się w pośpiechu... Spłonęło im przecież w ogniu wojennej pożogi pięć lat nauki. Pali się w ich młodych, dziecięcych jeszcze umysłach.

Obok drzwi wejściowych piętrzą się już stosy czystutkich, czerwonych cegieł, z rozebranych pieców.

— Chłopcy, zmniejszyć tempo! — woła znów nauczyciel.

— Co dzień tak woła. Przyzwyczaili się już wszyscy do tego.

Słońce mknie chyżo ku górze po wyjaśnionym lazurze niebios. Tylko czekać, jak wskoczy na pół nieba, a potem zjedzie znów migiem, aż się oprze o czerniejące z dala sylwetki borów.

— Janek, Roman!

— Uwaga! Uwaga! Wapno idzie! Cegła!

— Pot się im leje po ciele, bo też sierpniowe słońce dobrze jeszcze przypieka, a drzewa skąpo udzielają cienia.

Z piwnic i strychów coraż to nowe jakieś stare wyciągają rupiecie. Przed chwilą wydobyli stos akt, sprzed sześciu lat. Wielu chłopców chwyciło z ciekawością i przejęciem swoje przedwojenne świadectwa.

Plichta znalazł czaszkę psa, starannie złożoną w szklanym pudełku.

— Kolekcja muszli znalezionych nad brzoskim jeziorem, zestawiona przez Kazimierza Szmańdę w roku 1937-ym — przeczytał Piernik i głos mu się nagle załamał.

— Kazimierz Szmańda, kierownik szkoły, zginął zamordowany w pobliskim lasku, przez teutońskich oprawców niemieckich.

— Wszyscy to wiedzą, cała wieś Sobótka, ba, nawet cała okolica.

— Kazimierz Szmańda... Nazwisko to przypominało się nagle wszystkim i poszło jak echo wśród zniszczonej szkoły.

Praca jakby urzeczona stała.

Chłopcy otoczyli kołem młodego wychowawcę. Czekają i patrzą groźnie w spokojną, osnutą nagłym potokiem wspomnień twarz młodego nauczyciela.

Patrzają pilnie w poblask twarz nowego kierownika.

— Pamiętajcie, chłopcy, że tam, o tam, na skraju tego lasu — mówił powoli a dobitnie młody wychowawca — padł zamordowany wasz nauczyciel, wasz kierownik, a mój, mój... ojciec... Z karabinem w rękę. To jego dziedzictwo.

Młody Szymański mówił powoli, z wysiłkiem, a głos mu drżał:

Kiedyśmy go odkopali... o, tam, wiecie, pod tymi trzema dębami rosnącymi razem leżał. Kiedyśmy go odkopali, to na nagich kregach żeber wyglądających spod zbutwiałej koszuli strzepił się sztandar... szkoły... Ktoś znalazł i ważniejsze

papiery szkolne... — Przesunął ręką po zorany zmarszczkami czole. — Karabin mu wydarto... Pozostał krwawy strzęp walczącej, nieugiętej Polski...

To wasz kierownik Szymański, a mój ojciec... Boże świeć nad jego duszą... Rozejść się chłopcy!... Praca!

Niech żyje nasz pan... — wyrwał się ktoś nieopatrznie i nagle... zacichł.

— ...nie żyje już przecież... — poszedł szmer po dygocącej gromadzie. —

— On żyje w was — ozwał się nagle jakby z zadumy, twardo nauczyciel — on żyje w was i w was działa. To on wam dodaje tej siły przy pracy!... On!...

Chłopcy zważowo rozbiegli się do swych prac, a po nim — po ich kierowniku pozostało tylko... wspomnienie.

Z lat niewoli

IRENA KIEPURSKA,

uczennica III kl. Gimn. im. M. Konopnickiej.

Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!

Wstaje ponury, jesienny ranek listopadowy. Spieszę się, ponieważ chcę być jak najprędzej w szkole. Dziś przecież wielkie święto narodowe — jedenasty listopad. Kiedy to Ojczyzna po stu pięćdziesięcioletniej niewoli zrzuciła kajdany, zamartwychwała. Na ulicy czuje się wielkość dnia. Na każdej twarzy Polaka widać nadzieję, że i teraz Polska odzyska niepodległość. Na jednym ze spalonych domów powiewa na wietrze biało-amarantowa flaga. — godło naszego narodu. Spoglądamy wszyscy na nią z czcią i nabożeństwem. Wchodzę do szkoły. Po klasach i korytarzach bieżanina i gwar. Każda uczennica jest rozgorączkowana, nie z bojaźni przed okupantem, lecz pod wpływem wielkiej chwili.

Dzwonek! Wszystkie ustawiamy się w pary i idziemy do sali rekreacyjnej. Po skończeniu modlitwy Basia wygłasza referat. Przed naszymi oczami przesuwają się karty historii Polski. Męczeństwa ludzi, ludzi ginących na Sybirze, w obozach i więzieniach. Aż wreszcie zrywa się naród do walki i jedenastego listopada 1918-go roku Ojczyzna wolna. Wszystkie słuchamy w napięciu i każda wierzy, że teraz, może niedługo, Polska obudzi się z letargu.

Następnie niektóre koleżanki wygłaszają wiersze patriotyczne. Niejedna z nas była wzruszona, lecz powstrzymywałyśmy łzy, bo płacz jest oznaką zwątpienia i słabości, a my wszystkie wierzymy w zrządzenie pęt. Na zakończenie uroczystości zaśpiewaliśmy „Boże coś Polskę”.

„Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!” — płynię do Boga błagalna prośba.

Nagle uroczystą chwilę milczenia ku czci poległych bohaterów w walce z najeźdźcą przerywa dzwonek alarmowy.

Wizytacja! Wszystkie jesteśmy przerażone. Panie każą nam spokojnie rozejść się po klasach. Po minucie sala opustoszała. Pani kierownicza błada, ale opanowana — zaczyna w naszej klasie lekcję przyrody, która jest dozwolona. Wtem bez pukania wchodzą Niemcy. Na powitanie wymawiają znienawidzone przez nas słowa: „Heil Hitler”. My siedzimy nie ruszając się. Och, z jak wielkim wstrętem i pogardą potrzałyśmy na tych ludzi. Wychowawczyni przerażona, ale zarazem chmurna, daje nam rozpaczliwe znaki, abyśmy wstały. Na twarzy wizytatora odmalowuje się wściekłość i zdziwienie. Dopiero wstałyśmy, kiedy powiedzieli „dzieńdobry”. Zaczyna się uciążliwa lekcja. Boję się, aby mnie nie zapytali, ponieważ jestem pod wrażeniem wiersza, który mówiłam i w żaden sposób nie mogę się skupić.

Baśka opowiada zadaną lekcję. Niemiec pod wpływem „rozczenia” głaszcze dziewczynkę pod brodę. Koleżanka zaciska zęby, aby nie wybuchnąć. Nareszcie dzwonek na przerwę. Niemcy opuszczają nas. Baśka zrywa się, aby czym prędzej pobiec do łazienki i umyć brodę, którą dotknęła zbrodnicza ręka.

Wizytator znów wraca. Dziwnym zbiegiem okoliczności podchodzi do Myszki, beczelnie rozwijając jej śniadanie. Było skromne, czarny chleb, posmarowany cienko smalcem. Pyta się, czym jest jej ojciec. Odpowiada, że nie żyje. Gdzie i kiedy umarł? Dziewczynka wstaje i z podniesioną dumnie głową mówi: „Mój tatuś zginął w Oświęcimiu”.

Zbir hitlerowski jakby dostał w twarz, szybko opuszcza nas, ścigany nienawistnymi i pałającymi oczami naszej klasy.

Obrazek z życia szkolnego z czasów okupacji

...Zakazana nauka, której gorąco pragnęła młodzież polska, odbywała się w czasie okupacji niemieckiej w bardzo trudnych i niekiedy przykrych warunkach. Jednak młode pokolenie nie przejmowało się tymi niedogodnościami, ale z uśmiechem na ustach i śmiałym spojrzaniem szło tam, gdzie groziło największe niebezpieczeństwo. Hasłem ich było: Bóg, Ojczyzna, Nauka!

Pewnego letniego ranka, punktualnie o 7-ej, jak zwykle wyszłam z domu do szkoły. Przy pożegnaniu z Mamusią, troskliwa mateczka prosiła, bym bardzo uważała i nie narażała się na niebezpieczeństwo, które kryło się za każdym węglem ulicy w postaci ordynarnego i brutalnego żandarma, grożącego rewizją. Przyrzekłam sołennie uważać i rażnym krokiem wyszłam na ulicę. W teczce niosłam książki, przeznaczone dla 7-ej klasy szkoły powszechnej, a między nimi kartki wypełnione regulami łacińskimi i historią starożytną, mapę geograficzną Polski i zakazaną lekturę. Parę tych świstków i prawdziwie polska książka były to dowody ciężkiej winy i groziła wielka kara za nie w razie rewizji. Szłam jednak śmiało do naszej „tajnej” szkoły, nie myśląc o tym, co może mi grozić za minutę, czy za godzinę. Taką samą drogę, pełną przykrych niespodzianek, odbywali codziennie moi koledzy i koleżanki, spiesząc na naukę, nawet z najdalszych krańców Warszawy. Rozmyślając nad tajnymi lekcjami, minęłam szereg ulic i stanęłam wreszcie przed szarym budynkiem „naszej” szkoły. Przypatrzyłam mu się długo i z miłością, co czyniłam każdego dnia przed wejściem w jego progi.

Ile ten dom posiadał tajemnic?

Znał wszystkie sprawy i czyny polskiej młodzieży, która gościła w jego murach.

W klasie było już pełno. Słychać było śmiech i gwar. W jednym kącie ktoś kłócił się zawzięcie o to, czy Wisła wpada do Niemna czy nie, a w drugim dwóch chłopców koniugowało czasowniki łacińskie, darząc się przy tym wzajemnie nazwami osłów i wariatów w razie najdrobniejszej pomyłki. Wresz-

cie zabrzmiał dzwonek. Klasa ucichła. Przez duże, otwarte okna widać było podwórze, zamienione w starannie utrzymany ogródek, który łączył się z małą działką przytykającą do następnego domu, stojącego frontem do małej, bocznej uliczki.

Uczyliśmy się na parterze. Wszedł profesor. Pierwszą lekcją była łacina. Wykład potoczył się miło i prędko, tak że niewiedziałam, kiedy zabrzmiał dzwonek.

Na drugiej lekcji nasza najmiłsza profesorka wprowadziła historię starożytną.

Właśnie w chwili, gdy zapytany przez nią uczeń opowiadał zaczął o wojnach punickich, przez otwarte okna do uszu naszych dobiegł dobrze znany, paraliżujący członki głos syreny samochodowej, zwiastujący zawsze „zamkniętą” ulicę i gestapo na karku. Szarpnięte drzwi, odskoczyły i do klasy wpadł dyrektor. Zdołał tylko szepnąć do chłopców: „Zabierać co niepotrzebne i w ogród!”

Za chwilę w klasie panowała cisza. My, dziewczęta, siedziałyśmy spokojnie, a profesorka opanowanym głosem opowiadała nam o zjawiskach przyrody żywej i martwej.

Na schodach i w korytarzu zabrzmiały nabite gwoździami buty żandarmów. Otworzyły się drzwi i do klasy wprowadzeni przez dyrektora wkroczyli tak bardzo nieprzyjemni goście. Jeden z nich łagodnym głosem, najczystszą polszczyzną zajął się rozmową z profesorką, a reszta rzuciła się, aby rozpocząć oglądanie naszych teczek, książek, zeszytów i poszczególnych kartek. Nic nie znaleźli. Wtem jeden z nich oparty o parapet okna spojrzął na podwórze i nagle wybiegł prędko.

Wrócił po chwili, niosąc w ręku szaro obłożony zeszyt do historii. Zgubił go któryś z uciekających.

Wina była udowodniona. Szkoła została zamknięta, my rozpedzeni, profesorowie uwięzieni, a nasz drogi dyrektor stracił życie. Ale myśmy nigdy nie przestali się uczyć! Choć czasami były naprawdę ciężkie chwile do wytrzymania — my, młodzież polska, drwiliśmy ze smutku i niebezpieczeństwa, a błogosławił nam Bóg!

Pejzaż Kujawski



Dzień ma dwanaście godzin

Dzień ma dwanaście godzin. Tak, tylko dwanaście godzin, lecz w każdej z nich, w każdym z tych niedostrzegalnych ułamków wieczności ważą się losy ludzi, narodów, wszechświata. Wszechmocną ręką rzuca Opatrzność na szalę wagi sprawiedliwości czyny ludzkie dobre i złe, szlachetne i podłe, szczerze i skryte... I szale wagi chylą się raz na dół, raz w górę; narody giną i wstają z martwych, a losy ich zawisły od tych właśnie najmniejszych, najdrobniejszych cząsteczek wieczności — dwunastu godzin dnia...

Nadszedł rok 1939. Potężnym wysiłkiem zwyrodniałego umysłu przechylił geniusz zbrodni odwieczną wagę. Straszliwym wirem pochłonął miliony istnień. Ponura czerwień krwi i pożogi przesłoniła świat.

Lecz oparł się barbarzyńcy naród, którego synowie każdą chwilę życia poświęcili walce za świętą sprawę. Z ich mąk i cierpień, z niezliczonych godzin wysiłku i zmagañ, z dni pełnych napięcia i grozy wyrósł olbrzymi stos i przygniótł swym ciężarem krwiożerczą bestię.

Cichy ranek późnej jesieni 1944 roku zasnuł lekką mgiełką rozległe bory Puszczy Mariańskiej. Rubinową czerwienią perlily się chłodne kropelki rosy na zwarzonych liściach ziół. Mokra nawierzchnia asfaltowej szosy połyskiwała tu i ówdzie zza drzew. Majestatyczną ciszę mącił niekiedy nieśmiały jeszcze świergot budzących się ptaków. Nic nie zdradzało, że tuż w odległości paru metrów wali przyspieszonym tętnem kilkanaście młodocianych serc w oczekiwaniu decydującej chwili. To grupa wypadowa plutonu porucznika Pika zamaskowała się na skraju lasu i czyha na łup. Dziś rano opuszcza pobliski majątek oddział wojska, stacjonujący tam dla ochrony magazynu „Rolnika”, i wywozi resztę przydziałowej wódki, skór i towarów tekstylnych. Wszyscy uzbrojeni są w „empi”, które chłopcy tak cenią. Prócz tego „goły” samochód nie wjedzie w puszcze i na pewno trafi się coś cięższego.

Wtem ciszę mąci szlestep szybkich kroków, a po chwili meldunek wymówiony zciszoną głosem: „Panie sierżancie, już jadą!” „Daleko są?” „Jakiś kilometr przed zakrętem”. „Dziękuję, wrócić na stanowisko. Janek niech zostanie na drzewie i obserwuje nadal”. „Odbezpieczyć broń! Gdyby nie stanęli, nie strzelać, aż miną Longina! Longin, wyjdź już!” Zza kupy liści wstaje wysoka postać, żegna się i wolnym krokiem wychodzi na szosę. Nie pierwszy raz wychodzi tak z granatem w rękę i niezawodnym Stenem pod pachą, lecz zawsze lepiej z Bogiem. Śtaje na środku szosy i czeka. Z obydwu stron dwanaście par oczu wpija się w zakręt. Dwanaście palców wyczuwa chłodne dotknięcie cyngla. Niechby spróbowali nie stanąć!

Już słyhać warkot. Już jadą! Jeszcze chwila i w wariackim tempie wypada zza zakrętu zielona „buda” z dwudziestoma „szkopami”, uzbrojonymi „po zęby”. Walą na łeb na szyję, byle prędzej przebyć tę straszną dżunglę, gdzie za każdym drzewem czai się śmierć. Longin ściska mocniej Stena pod

pachą i wolno, flegmatycznie macha granatem. Słyhać pisk hamulców, Longin opuszcza granat, gdy wtem bluznął strumień ognia. Głowa Longina bryzga mózgiem na wszystkie strony i ciało bezwładnie, bez jęku osuwa się miętko na ziemię. Buda rzuca się naprzód jak koń wspięty ostrogą i mija leżące zwłoki. Lecz nim umilkło echo pierwszej serii, buchają zjadliwym jazgotem gadatliwe gardziółka Stenów. Kilka zielonych postaci znika za podziurawionymi ścianami, lecz „buda” mknie naprzód. Opony cudem ma całe. Już minęli pozycję, gdy z rowu wylatuje jakiś koziołkujący przedmiot i pada tuż przed maską samochodu. W następnym ułamku sekundy jasny błysk wykwiła na szosie, a „buda” jak pchnięta potężnym uderzeniem, zarzuca tyłem, koziołkuje i z ogłuszającym hukiem wybuchu miesza się chrzęst giętej stali. Po chwili zalega znów cisza. Zaden z rozrzuconych szeroko Niemców nie rusza się. Krew ich miesza się z olbrzymią kałużą rozlanej wódki, tworząc gęste wino na potworną ucztę upiorów.

Pięć osób wynurza się z zarośli i z rewolwerami w rękę podchodzi do zmasakrowanych trupów. Zbędna ostrożność. Ci już nikomu nie zaszkodzą. Na dany znak wychodzi reszta z ukrycia i szybko zabiera się do rozbrowienia leżących i zrewidowania samochodu. Czterech wraca po zwłoki Longina. Z głowy nie zostało ni śladu, a piersi leżą w czerwonej kałuży krwi. Z delikatną czułością kładą drogie szczątki na rozłożonym płaszczu i wracają do kolegów.

Zdobycz jest obfita: 12 „empi”, cztery „flety” i jeden c. k. m. Prócz tego sporo amunicji i kilka pak ze skórą i towarem tekstylnym. Na sygnał gwizdkiem rozlega się gdzieś w oddali warkot motoru i z wąskiej drożyny wytacza się wolno ciężarówka przygotowana do odtransportowania zdobyczy. Nie będzie miała zbyt ciężko; tyle setek litrów monopolówki wsiąkło w ziemię.

Po raz pierwszy miała grupa podobny wypadek. Zawsze Niemcy potulni jak barany stawali w miejscu, z rękoma w górze, ochoczo zeskakiwali z wozu, składali broń i plackiem na ziemię. Po tym następowała rewizja kieszeni, samochodu, no i na zakończenie granat w motor i jazda w las. A dziś jakiś czart ich pokusił do stawiania oporu. Biedny Longin. Nie stanie już nigdy na swych szczudłowatych nogach i nie da szwabom znać, że choć zdobyli całą Europę, na skraju każdego polskiego lasu kończy się ich panowanie. Ano trudno: Kto się narodził — musi umrzeć. Wybiła dziś jego dwunasta godzina.

Skończyli właśnie ładować ciężarówkę, gdy rozległ się dwukrotny gwizd. Ktoś jedzie. Na szosę wybiega łącznik i melduje zbliżanie się dwóch samochodów. Są niedaleko, mogli więc słyszeć salwy i wybuchy i nie dadzą się zaskoczyć. Lepiej zmykać. Zadanie zostało wypełnione, a bez rozkazu nie wolno działać. W mig oddziałek znajduje się na wozie i rusza całym gazem astmatycznego generatora. Paręset metrów szosą, potem skręt

w prawo i żaden czart ich nie znajdzie. Lecz Niemców już widać. Potężne silniki benzynowe z łatwością dopędzają dychawiczny generator. Nie zatrzymali się na miejscu katastrofy. Ścigają! Zroszona szosa nie pozwala unieść się tumanom kurzu i ścigających widać jak na dłoni. Raz po raz błyska coś z tyłu i kędyś górą przelatują z wesołym poświstem kule. Szofer wycisnął już cały gaz, lecz zrazu małe sylwetki nabierają wyrazistości z przerażającą szybkością. Ale bieleją już zdala smukłe pnie brzoź znaczące wylot leśnej drogi. Lekkim skrzętem samochód przesuwają się ku lewej stronie szosy i nie zmniejszając prawie szybkości wpada w zielono-żółty tunel, otwierający się w zwartej ścianie boru. Warkot ścigających ginie w szeleście opadłych liści, których tańczące kłębowiska wirują za mknącym wozem. Tu są już bezpieczni. Szofer zwolnił na wyboistej drodze. Lecz... co to? Złowrogi warkot znów daje się słyszeć i zbliża się. Czyżby aż tu zagnała ich zaślepiająca żądza zemsty? To nie do wiary! Oj, damy im łupnia! Za Longina! Na pierwszym zakręcie mistrzowska ręka osadza maszynę w miejscu i sześciu ludzi skacze na ziemię. Każdy ma w rękę śmiercionośną pigułkę — wiązkę granatów. W mgnieniu oka znikają po obu stronach drogi. Zdławiony charkot ścigających motorów słychać tuż, tuż! Już są!

Trzy słupy, ognia, liści i piasku tryskają na drodze. Pierwsza maszyna uderzona potężnym podmuchem, staje dęba i z druzgocącą siłą wali się na ziemię. Druga, hamując rozpaczliwie sześcioma kołami, zarzuca tyłem i już, już ma runąć na pierwszą, gdy trzy nowe wybuchy osadzają ją w miejscu i odrzucają w bok.

Dudniący grzmot toczy się po puszczy, zwiastując jej mieszkańcom o dokonanej dziele zniszczenia. Powoli echo zamiera w borze i cisza śmierci zawisa nad drogą. Suchy trzask trzech strzałów rewolwerowych rwie ją na strzępy i wzbudza ponowne echo. Po dłuższej chwili znów słychać warkot. To tamci wracają po towarzyszy i nowy łup. Szybko zbierają rozrzuconą broń, sprawnie rewidują kieszenie i samochody, potem granat w motor i jazda.

Czterdzieści trupów zostało na drodze jako widomy znak, że puszcza żyje i mści się za swych synów.

A w jedenastu duszach wyrzył się głębokim śladem krwawy obraz bezgłowego kikuta, sterczącego żałośnie z porwanych strzępów kurtki.

Z takich to godzin ociekających krwią i dygocących drzeniem napiętych nerwów składało się ich życie. Na tych godzinach walki wyrosła Polska!

ZYGMUNT ZBORUCKI,
uczeń IV kl. Gimn. im. J. Kasprowicza.

Ostatnia przygoda

Jedną z metod niemieckich dla utwierdzenia swego reżimu w krajach okupowanych było tępienie inteligencji polskiej przez obozy koncentracyjne, a przyszłe jej kadry t. zn. młodzież przez pozbawienie jej wykształcenia. Samoobroną społeczeństwa było T. N., wcześniej zorganizowane na terenie t. zw. G. G.

Specjalnie trudne warunki miała młodzież polska w „dystrykcie Galicji” z powodu szowinistów ukraińskich, stojących na usługach Niemiec, którzy paraliżowali wszelką akcję polską.

Wielkie wzburzenie wywołała wśród naszej „paczki” wiadomość o utworzeniu gimnazjum dla Ukraińców, którzy za cenę swojego honoru otrzymali, ten dla nas nieosiągalny, przywilej. Wnet z maszyn drukarskich wyszły dla nich nowe podręczniki, a dla nas... nowe odezwy wzywające do posłuszeństwa i uległości dla **Herrenvolku** i do zaniechania marzeń o wolności. Jednak te fakty nie tylko nie przytłoczyły ogółu młodych, ale przeciwnie: postanowiliśmy nie dać się zdystansować przez Ukraińców — nacjonalistów i przez naukę indywidualną przejść ich we wszystkich dziedzinach. Pomocnymi nam miały być: zawziętość i dumą narodowa. Plan ten udał się nam w zupełności i wielu z nas przerobiło gruntownie, mimo braku kierunku pedagogicznego, materiał klas pierwszych, który przyniósł nam jedynie pełne zadowolenie i wiarę we własne siły, bowiem „namacalnych” dowodów z ukończenia tych klas nie było.

Społeczeństwo widząc ten wysiłek młodzieży nie zostawiło jej samopas w pracy. Utworzono, na wzór stołecznych, kursy T. N., gdzie młodzież pod kierunkiem profesorów kształciła się w grupach, tajnie w domach prywatnych. Nie ma potrzeby opisywać radości wywołanej wśród nas tą wiadomością: doczekaliśmy się nareszcie polskiej szkoły, choć z konspirowanej, ale prawdziwej, wykłady odbywały się bowiem według programu i zasad nauczania, a w pracy pomagaliśmy sobie nawet pomocami naukowymi.

* * *

By nie budzić podejrzeń w mieście codziennymi schadzkami, na naukę człapaliśmy po błocie aż na odległe przedmieścia. Tu mieszkali przeważnie profesorowie zepchnięci przez okupanta z centrum miasta. Mieliśmy umówione postępowanie w razie niepożądanych odwiedzin i tak prawdę rzekłszy, każdy z nas w głębi serca marzył o tym, by kiedyś stanąć w obliczu niebezpieczeństwa i zdać egzamin z przytomności umysłu.

Los zdarzył nam podobną okazję w lutym 1944-go roku, kiedy byliśmy już „starymi wygami” w T. N. W wietrzne popołudnie, w czasie silnej zadymki, stanęło przed domkiem na przedmieściu, w którym odbywała się nasza lekcja, ogromne auto ciężarowe z którego zaczęli się wysypywać esmani.

Wsypa — pomyśleliśmy sobie, a profesor, by zyskać na czasie, wyszedł im na spotkanie do sieni. My zaś pochowaliśmy książki w umówione schowki

i urządziliśmy, przy dźwięku gitary, wesoły koncert rzekomo urodzinowy dla kolegi. Wyobraźnia malowała nam najbliższe spodziewane przeżycia: rewizja, jazda autem na „kripo” i badania przez esmanów. Oczywiście my będziemy jak skała, jak mur. W tak heroicznym nastroju jakież rozczarowanie: okazało się, że to niedawni butni zwycięzcy „wiejąc” z pod Żytomierza szukali kwater po naszym mieście na nocleg.

* * *

Niedługo jednak po tym incydencie przyszła naprawdę „wsypa”. A było to tak: naprzód zelektryzowała nas wiadomość, że nasi „chłopcy z lasu” przychodzą do miasta na sześciotygodniowy kurs przygotowawczy do matury dla byłych licealistów, którzy po tym mieli iść do tajnej podchorążówki. I rzeczywiście zaczęli chodzić po kilku na lekcje do naszych profesorów, przy zachowaniu koniecznych ostrożności. A my szczeniaki przy nich, patrzyliśmy z zazdrością, że dane im było czynnie przeciwstawić się znieawidzonemu wrogowi.

Ukraińcy nie zasypiali jednak sprawy. Ich czujność trudniej było nawet uspić, jak Niemców. I naraz w sam dzień Wielkiejnocy zacny, stary ksiądz prefekt, dawny kapelan wojskowy, który nas trzymał krótko, po żołniersku, ale trwałą miłość umiał budzić dla siebie w sercach młodzieży, dostał ostrzeżenie, że do Gestapo okręgowego przyszło doniesienie z „Ukr. Komitetu” naszego miasta o podchorążówce i T. N. Z zakrystii odrazu pchnął nasz kapłan gościów na wszystkie strony z tą nieprzyjemną wieścią. „Chłopców z lasu” pochłonęły znów okoliczne bory, „skompromitowani” profesorowie musieli opuścić swe rodzinne strony i uchodzić przed Gestapo. Lekcje ustały, lecz młodzież nie ustawała w pracy: zaczęło się znów mozolne „wkucie” samodzielne, bez współpracy nauczycieli. Tak upłynęła wiosna, a wypadki zaczęły się toczyć jak lawina. — Niemcy zaczęli uciekać z naszej ziemi pod naporem Armii Czerwonej i naszych dzielnych żołnierzy. Ustąpiła teutońska nawała, a mury polskich szkół zapełniły się znów rozgwarą radosnej młodzieży cisnącej się do niej z gorącym zapalem po wiedzę.

W rocznicę otwarcia szkoły

Sprawozdanie z akademii z dnia 14. III. 46

14. III. 45 — 14. III. 46 — to rok wspólnej, wytężonej pracy w naszym gimnazjum. Te dwie daty widniały w auli, gdzie zebraliśmy się, by uczcić tę pamiętną i ważną w naszej pracy szkolnej rocznicę.

Obchód ten jednak był dla nas nie tylko uroczystością ważną i doniosłą, lecz i radosną chwilą otwarcia radiowęzła szkolnego. Z dumą słuchaliśmy pierwszych słów płynących do nas z głośników. I właściwie dopiero usłyszawszy głos spakera zrozumieliśmy jak wielkiej pracy dokonali nasi nieliczni koledzy, ile trudu i bezinteresownego poświęcenia kosztowało to ich dzieło. Lecz słusznie w swym przemówieniu podkreślił kolega Skonieczny mówiąc, że teraz: „Rozwój i ulepszenie radiowęzła powinno być celem wszystkich uczniów, bo te małe, niepozorne głośniki umożliwiają wspólne zrozumienie i zjednoczenie się w jedną rodzinę szkolną.”

Z kolei przemawiał p. profesor Mikołajewski, opiekun Bratniej Pomocy, który szczególnie podkreślił poświęcenie i samozaparcie tych kilku uczniów, pracujących dniem i nocą, pełnych zapału i zrozumienia pracy społecznej. „Z takich synów — powiedział p. profesor — nie tylko rodzice i szkoła, lecz i Ojczyzna będzie miała pociechę”.

Po tym uroczystym otwarciu, któremu przysłuchiwaliśmy się pod głośnikami naszych klas, spieszenie podążyliśmy do auli, gdzie już zgromadzeni byli profesorowie wraz z p. dyr. Mańkowskim, rodzice i nasi goście z gimnazjum żeńskiego. Pierwszą część artystyczną poranku rozpoczął p. prof. Sobieski, odegrałszy na organach utwór Bacha. Tę muzykę, poważną i uroczystą, wywołały podniosły nastrój i skupienie na twarzach dorosłych i starszej młodzieży, (bo niestety nie można było tego powiedzieć o młodszej części audytorium). Lecz cisza

zaległa na sali, gdy za katedrą, przed mikrofonem stanął p. dyrektor. I to przemówienie podziało na zebranych, bo p. dyrektor poruszył tak ważną sprawę, jaką jest zagadnienie kultury ludzkiej, jak dbać o jej podźwignięcie należy. „Pamiętajcie — rzekł p. dyrektor — że wciąż trzeba naprzód postępować, a w miejscu stać nie możemy”.

Po tych chwilach uwagi i skupienia myśli, chór gimn. żeńskiego odśpiewał dwie równie poważne jak i piękne pieśni pt.: „Hymn młodych” i „Złamane berło”. Z szalonym zapalem młodzież biła brawo po deklamacji kolegi Ostrowickiego. Doskonałym odzwierciedleniem powojennej sytuacji naukowej były „Moje przeżycia w gimn. męskim” — koleżanki Szarłatówny. Ten drobny napózór epizod, — spotkanie i rozmowa z dorosłym kolegą z klasy drugiej gimn., ilustruje zapał młodzieży do pracy, bez względu na wiek. Wiązanka pieśni ludowych w wykonaniu kolegów Droszcza i Szymańskiego, na fortepianie i skrzypcach, oderwała nas od murów szkolnych, od codziennej troski o naukę i przeniosła nas wyobraźnią na równiny kujawskie, — równiny naszego piewcy Kasprowicza. Zupełnie nieoczekiwanym numerem programu było wystąpienie naszych młodocianych harcerzyków. Doskonale można było zauważyć, że wybitnie deprymująco podziałał na nich maleńki mikrofon, przed którym zapewne po raz pierwszy w życiu stanęli. Lecz mimo to okazali dużo energii i zimnej krwi „deklamując” ten piękny wiersz Kasprowicza — „Czuwaj”.

Po tym urozmaiceniu przemawiał p. prof. Mikołajewski. Na pewno nie było takiego, który by się nie przejął tymi słowami nauki, prawdy i zachęty na przyszłość, płynącymi z głębi serca tak bardzo kochającego młodzież profesora. W słowach jego

brzmiała pochwała nie tylko dla tych, którzy czynny udział brali w radiofonizowaniu gimnazjum, lecz i dla całej młodzieży, która z zapalem wzięła się do odnowienia i ulepszenia urządzeń szkolnych, z wielkim trudem przed rokiem zdobytych.

Raporty samorządów klasowych złożone w ręce p. dyrektora były ostatecznym zadokumentowaniem pracy dokonanej w tym pierwszym roku i konkretnych planów na przyszłość. Wszyscy z niecierpliwością czekali na odczytanie sprawozdania kl. IVa, która to najwięcej zdziałała w naszym zakładzie, dzierżąc przy tym w swych rękach dyktatorską władzę samorządową. Jednak charakteryzująca ich skromność kazała im przemilczeć ich zasługi i to na zakończenie pierwszej części poranku ujrzeliśmy raport klasy... Ite. Zaćmił on i usunął na drugi plan wszystkie inne sprawozdania, przodując nie tylko wielkością, ale i listą prac wykonanych.

Drugą część artystyczną poranku wypełnił program koleżanek z gimn. żeńskiego. Przy akompaniamencie fortepianu odtańczyły one najpierw biały walc, potem duet koleżanek (kol. Kwiecińska

i Kwiatkowska) z klas semestralnych zaśpiewał piosenkę ludową, a wreszcie najmłodsze przedstawicielki zakładu M. Konopnickiej wykonały taniec hiszpański, bardzo ładny i efektowny, a przy tym charakterystyczny przez swe stroje.

Na zakończenie była zarezerwowana najmilsza niespodzianka — nasz rodzinny taniec — kujawiak. Wykonany z wdziękiem i wczuciem przez kol. Kwiatowską i Oczachowską. Podziw swój i uznanie powinniśmy wyrazić tym wszystkim koleżankom, że po roku nie zapomniały dni spędzonych w gimn. J. Kasprowicza i swą współpracą pod kierownictwem pełnej oddania i poświęcenia się młodzieży p. prof. Zboruckiej, przyczyniły się do urozmaicenia naszej akademii, a przez to odpląciły nam za dni gościnny.

Toteż sędzę, że nadal ta współpraca trwać będzie, że w pamięci pozostaną nam te chwile wysiłku i trudów pierwszego roku szkolnego i zawsze brzmieć nam będą ostatnie słowa Roty: „Tak nam dopomóż Bóg!”

K. C.

ANTONI KOZŁOWSKI,

uczeń II kl. Gimn. im. J. Kasprowicza.

Wspomnienie o śp. profesorze Jerzym Dąbskim

Są ludzie, o obecności których zwykle mało wiemy. Przyzwyczajamy się, że są, i to nam wystarcza. Dopiero po stracie takiego człowieka odczuwamy wokół pustkę. I teraz dopiero widzimy, ile Mu zawdzięczamy. Ogarnia nas żal. Nie wszyscy może rozumieliśmy Go za życia, nie wiedzieliśmy jaką ciernistą drogą, kroczył.

Imię śp. profesora Jerzego Dąbskiego niech będzie dla nas symbolem pracy, zaparcia i poświęcenia. Nie wszystkim może wiadomo, ile przeszedł w swym życiu. Nie mówił o tym nikomu. Pracował i walczył w milczeniu. Tym większa Jego zasługa.

Wojna 1939 roku zostawiła Go bez środków do życia. Nie opuścił jednak rąk. Przez cały czas okupacji pracował społecznie w Warszawie. Zamknięty w sobie, borykał się z losem, wierząc w nowe, lepsze jutro. I gdy przyszło ono nareszcie, gdy w gruzach legły bastiony hitleryzmu, wrócił śp. profesor Jerzy Dąbski w swe rodzinne strony.

I tu okazało się, że stracił wszystko. Został więc profesorem gimnazjalnym. Co skłoniło Go do tego, że wybrał tak ciężki i niewdzięczny zawód? Nie był przecież profesorem z zawodu. Znał ciężkie wa-

runki, w jakich pracowali Jego koledzy. Śp. profesor Jerzy Dąbski patrzył trzeźwo w przyszłość. Widział ilu inteligentów polskich zginęło w czasie krwawej okupacji hitlerowskiej. Zdawał sobie sprawę z tego, że państwu potrzebni są wykształceni ludzie. Dlatego też postanowił swą wiedzę przelać w nas, przyszłych inteligentów polskich.

Z uczniami łączył śp. profesora Dąbskiego szczery, przyjazny stosunek. Toteż wieść o Jego tragicznej śmierci okryła żałobą całe gimnazjum. Zamanifestowaliśmy swe uczucia, biorąc tłumny udział w pogrzebie.

I teraz ze czcią i szacunkiem wspominamy Jego imię. Padł na posterunku, szkoląc nas, nowe kadry przyszłej inteligencji; mającej zastąpić tych, którzy padli ofiarą wojny. Nas, mających stworzyć swą pracą wielką i świetną przyszłość naszej Ojczyźnie. Niestety! Śmierć wyrwała Go tak wcześnie z naszego grona. Lecz my potrafimy ocenić Jego pracę i poświęcenie. My potrafimy być wdzięczni.

I wspomnienie o Nim, jako o prawym Polaku i cichym bojowniku swej idei, zachowamy na zawsze! Cześć Jego świetlanej pamięci!

Przekrój

przez życie organizacyjne zakładu w latach szkolnych 44/46

„Sic transit gloria mundi” — mówi łacińskie przysłowie. Tak przemija... Minęła również burza hitlerowskiego barbarzyństwa, którą przez sześć długich lat szalała nad naszą Ojczyzną. Pod potężnymi ciosami zadawanymi w imię Prawdy i Sprawiedliwości, skruszyła się ideologia narodu „panów”, a jej wyznawcy w popłochu uciekli pozostawiając nam, prócz ciał swych kamratów, niemiłe, koszmarnie wspomnienia. Wspomnienia i gruzy. Rok temu nie było ani jednej gałęzi życia kulturalno-gospodarczego, która by nie doznała większych lub mniejszych obrażeń. Wszędzie, na każdym polu, braki były ogromne. Szczególnie zdewastowane było nasze szkolnictwo. Okupant, z szatańską wprost złośliwością, zniszczył je prawie doszczętnie. Toteż, gdy w lutym ubiegłego roku grupa profesorów zabrała się do organizowania gimnazjum, wiedziano, że praca będzie ciężka. Nie było dosłownie nic, nie licząc budynku, który zamieniony został na szpital polowy. Brak pomocy szkolnych, brak podręczni-

dynek szkolny, na skutek interwencji odnośnych kompetentnych czynników, został nam przez władze wojskowe zwrócony, rozpoczęliśmy pracę. Dziś możemy się poszczycić jej wynikami. Przed rokiem nie mieliśmy nic, a dziś... no nie mamy jeszcze wszystkiego, ale bardzo dużo. Na drodze, którą zostawiliśmy poza sobą wije się pasmo drobnych trudów, drobnych ofiar, które doprowadziły nas częściowo do celu. Spójrzmy na tę drogę.

W pracy nad wyposażeniem szkoły w potrzebny sprzęt nie brakło nikogo. Ławki i stoły, krzesła i taborety znosiły nawet dziewczęta, które przez pewien czas (ściśle mówiąc do pierwszego maja) korzystały z naszej gościnności. Uzupełnianie braków nie przerywało naturalnie nauki, która rozpoczęła się po złożeniu wstępnych i uzupełniających egzaminów, dnia 14. III. 45 r. Ten pierwszy rok szkolny cechuje mrówcza, wyteżona, pozbawiona wyraźnych efektów praca. On to poświęcony został zaklimatyzowaniu się tak uczniów jak i ciała nauczy-



Stodoła w Turzanach

Drzeworyt — St. Łuczak

ków, wszystko to nie pozwalało mieć wielkich nadziei na udanie się przedsięwzięcia. Mieliśmy przed wojną wspaniale wyposażoną pracownię zajęć praktycznych, mieliśmy bogatą bibliotekę liczącą przeszło 10 tys. tomów, mieliśmy... Ale na cóż przyda się wyliczanie tych naszych dawnych bogactw? Uwypukli nam ono tylko jeszcze wyraźniej rozpaczliwe położenie, w jakim znaleźliśmy się. Jednak wobec tych, jak zdawało by się, nie do przewyciężenia trudności, nie pochylają się czoła, nie uginają karki. Idea odbudowy naszej starej „budy” nie dawała nam spokoju, nie pozwalała na beczynną egzystencję z założonymi rękoma. Toteż, gdy bu-

cielskiego. W jego ramach, niczym w wielkim kotle, dokonała się fermentacja nastrojów, zamiarów, upodobań. Uformowany 2 czerwca 1945 r. zarząd Bratniej Pomocy Samorządu Szkolnego czyni wszystko, co w jego mocy, aby uregulować i usprawnić życie szkolne, aby stać się łącznikiem między szkołą, a społeczeństwem. Od tej chwili nie ma święta, nie ma uroczystości, w której by szkoła nie wystąpiła gremialnie, bądź wysyłając swoich delegatów. Na terenie szkoły powstają również liczne organizacje, jednak ich działalność zaznacza się dopiero w następnym roku szkolnym 45/46. Rok ten jest rokiem rozkwitu szkoły. Nowy zarząd Bratniej Pomocy,

bogatszy o doświadczenie swych poprzedników z roku ubiegłego, bierze się energicznie do pracy. Zaczyna więc od zreformowania Statutu Bratniej Pomocy, przez wprowadzenie na teren szkoły inspekcji porządkowych. Był to pewnego rodzaju eksperyment, który dał jednak zadawalające wyniki. Zarząd B. P. organizuje dalej akademię z okazji święta spółdzielczości. W tym samym dniu zostaje otwarta spółdzielnia uczniowska. Na terenie szkoły powstaje również kurs spółdzielczości. Młodzież szkolna korzysta ze specjalnych, dla niej dawanych seansów filmowych w kinie „Słońce”. Ogląda takie filmy jak: „W cieniu krzyża”, „Berlin”, „Najazd”, „Wielki walc”. Młodzież jest również obecna na czterech koncertach muzycznych.

Zarząd B. P. z p. prof. Mikołajewskim jako opiekunem na czele nie spoczywa w pracy. W dn. 18 października 1945 r. po przezwyciężeniu wielu trudności, otwarto świetlicę szkolną, która staje się odtąd ośrodkiem życia kulturalnego naszego Zakładu. Świetlica wyposażona jest w radiodbiornik oraz w cały szereg czasopism i periodyków. Radiodbiornik zakupiony został częściowo ze składek, a część pozostałą pokrył fundusz uzyskany z wieczorku tanecznego urządzanego za zgodą dyrekcji Zakładu. Realizując hasło niesienia pomocy, „Bratniak” udziela 18-tu najuboższym uczniom jednorazowego stypendium w wysokości stu złotych. W szkole przeprowadza się zbiórki odzieży dla dzieci i sierot warszawskich. Zebrane dary oddano miejskiemu zarządowi P. C. K. Ruchliwość życia wewnętrznego szkoły obrazują liczne organizacje. Oto w kilku rzutach ich działalność; spółdzielnia uczniowska „Concordia” pod opieką prof. Kamińskiego, szkoli przyszłych spółdzielców. Szkolne koło P. C. K. pod opieką prof. Zandeckiego, ma już poza sobą bogatą w samarytańskie uczynki przeszłość. Członkowie tego koła biorą udział w zorganizowanym przez miejski zarząd P. C. K. kursie sanitarnym. Ci spośród kolegów, którym znudziło się chodzić po ziemi i którzy zazdroszczą ptakom lotu, zorganizowali się tworząc „Koło Szybowcowe”, nad którym opiekę objął prof. Mazurkiewicz. Szybownicy nasi zasilają szeregi „Aeroklubu Kujawskiego” i wraz z koleżankami z gimnazjum żeńskiego stanowią jego fundament. Pośród uczniów nie brak także i takich, którzy by chcieli siły swoje i zdolności (?) poświęcić służbie Melpomeny. Powstaje więc staraniem opiekuna „Bratniej Pomocy” Koło dramatyczne, jako sekcja Samorządu Szkolnego pod opieką prof. Jani i Zandeckiego, przy współudziale gimn. żeńskiego. „Koło dramatyczne” wystawiło na scenie Teatru Miejskiego jedną z komedii Fredry. Na terenie Zakładu istnieje również „Koło filatelistyczne”, którego opiekunem jest prof. Chmieliński. Celem tego koła jest udostępnienie członkom zakupu znaczków po cenach niższych.

Kontynuując pracę poprzedników sprzed wojny, powstało z początkiem roku szkolnego „Koło fizyczno-chemiczne”. Członkowie jego mają nadzieję, ba, nawet pewność, że już niedługo zostanie przez nich odkryta jakaś nowa siła przyrody. Profesor Prosiński, opiekun, nie odbiera im tej nadziei. A narazie, zanim nastąpi nowe odkrycie, szanowni „fizycy” naprawiają i do użytku przyspasabiają sprzęt techniczny.

Mówiąc o pracy organizacyjnej Zakładu, nie możemy zapomnieć o istnieniu G. K. S. (Gimn. Klub

Sportowy). Klub ten widzieliśmy już niejednokrotnie na boisku, kiedy to nasi chłopcy brali pierwsze miejsca w biegach na 100 m, w sztafecie 4×100 m, itd. Klub ten rozegrał już kilka meczów w siatkówkę i koszykówkę. Brał także udział w zawodach o mistrzostwo Pomorza w Bydgoszczy. Opiekunem tego klubu, a zarazem jego duszą, jest prof. Bączkowski. Jeśli już mówię o prof. Bączkowskim, nie mogę zamilczeć o pewnej ważnej pracy pod przewodnictwem tego profesora wykonanej. Pracą tą, to niwelacja boiska szkolnego. Prócz wyżej wymienionych organizacji istnieją również takie jak: Gimnazjalna Drużyna Harcerska, Kółko Ministrantów i Sodalicja Mariańska ze swym opiekunem, ks. pref. Wróblewskim. Oprócz tych istnieje Kółko Historyczne, którego opiekunką jest prof. mgr. Żaczkówna, pod kierownictwem zaś prof. Sobieskiego powstaje Orkiestra Szkolna.

Jak z powyższego zestawienia wynika, życie związkowe i organizacyjne naszego Zakładu stoi na dosyć wysokim poziomie. Dalszy rozwój tych organizacji zależeć będzie od poparcia ich przez ogół uczniów.

Na terenie szkoły istnieją również liczne warsztaty ułatwiające uczniom pracę. Na pierwszym miejscu wymienić trzeba bibliotekę pozostającą pod kierownictwem prof. Kopia. O rozwoju naszej biblioteki szkolnej świadczą następujące cyfry: z początkiem ubiegłego roku szkolnego liczyła ona około 500 książek (przeważnie bezwartościowej niemieckiej makulatury), z których do zatrzymania nadawało się około 10%. Dziś biblioteka liczy przeszło 8 tys. tomów (w tym ok. 2 tys. książek polskich), a korzystało z niej przeszło pół tys. uczniów. Komentarze zbyteczne. Obecnie w bibliotece trwają prace nad katalogowaniem tych prawdziwych skarbów. Nie jest jednak tak dobrze, jak by się na pierwszy rzut oka zdawało. Książki są częściowo zdekompletowane, nieoprawione, zniszczone i jest ich jeszcze ciągle za mało. Przed wojną mieliśmy przecież 10 tys. książek w języku polskim. Toteż wśród wielu kłopotów dręczących kierownika tej ważnej placówki naukowej, te dwa są najważniejsze: kłopotem pierwszym, to brak funduszu bibliotecznego na skompletowanie i poprawianie książek. Nie ma już dziś niestety ludzi, którzy by majątki swe przeznaczali na biblioteki. Żyjemy w czasach ciężkich, w których nie ma miejsca na żadne filantropijne wystąpienia. Drugi kłopot można by łatwo usunąć, gdyby — powiedzmy wyraźnie — pod wpływem jakiegoś cudu, ci wszyscy obywatele, którzy pozostali obojętnymi na liczne apele i nawoływania o zwrot książek z bibliotek publicznych, nawrócili się i naszej szkolnej księżnicy uratowane z pogromu książki oddali. Oby Bóg dał.

Drugim warsztatem pracy, którego posiadaniem możemy się poszczycić, jest pracownia zajęć praktycznych. I tu rzecz ma się podobnie, jak z biblioteką. Prof. Mazurkiewicz, po ujęciu kierownictwa w swe ręce, miał do dyspozycji parę połamanych stołów, kilka młotków i obcęgow. Dziś pracownie drzewa i żelaza zaopatrzone są w nowoczesny sprzęt, w całe komplety strugów, pił, świdrów itd. Ostatnio sprowadzona została do pracowni tokarnia. Wobec tych faktów nie należy wątpić, że zamiar doprowadzenia pracowni do stanu przedwojennego, zostanie wkrótce zrealizowany.

Prócz tych dwóch warsztatów, istnieje jeszcze sporo innych. Wymienię tylko ważniejsze. Są nimi: gabinet biologiczny — pod kierownictwem prof. Lemańczyka i Sudera, gabinet historyczno-geograficzny, pod opieką prof. mgr. Żaczkówny oraz gabinet fizyczno-chemiczny z prof. Prosińskim na czele.

Sprawozdanie z życia naszej szkoły byłoby nie pełne, gdyby w nim nie znalazła miejsca wzmianka o zradiofonizowaniu Zakładu. Jesteśmy pierwszą

w Polsce szkołą, która uznając radio za bardzo ważny czynnik pedagogiczny, zaprzęgnęła go do pracy nad wychowaniem „przyszłości Narodu”. I co napawa nas największą dumą, to fakt, że czynu tego dokonaliśmy wyłącznie własnymi siłami.

Sprawozdanie zakończone. Nie zakończona jednak praca. Nie myślimy bowiem spocząć na laurach. Nie spoczniemy na nich nawet po dojściu do celu. Cel zaś nasz świeci przed nami wyraźny: jest nim dobro i potęga Ojczyzny!
S. O.

Z teatru szkolnego

Już w zimie ubiegłego roku dotarła do naszych uszu wiadomość, że na terenie gimnazjum Kasprowicza powstało kółko dramatyczne, które przystąpiło do werbowania ochotników. Wszyscy przypuszczali, że to prawdziwie słowiański, słomiany zapach pociągnął chętnych w szeregi tej kultuwującej sztuce organizacji.

Aż tu nagle, w ślad za nią druga, jeszcze bardziej wstrząsająca wiadomość obiegła lotem błyskawicy nasz gmach szkolny i do głębi nas poruszyła. „Damy i Huzary”, komedia Fredry, odgrywana dotąd przez artystów o światowej sławie, ma być wystawiona przez amatorski zespół szkolny! Toż to niepodobieństwo! Nic więc dziwnego, że wszyscy, a szczególnie wyższe klasy, sceptycznie nastawiły się do tej wiadomości i z ironicznym uśmieszkiem na ustach obserwowały wytrwale wędrujących „aktorów” na częste próby.

Aż tu przy końcu maja ujrzelśmy rozlepione w szkole i na mieście afisze normalnych rozmiarów i barw, na których było napisane, że Teatr Szkolny wystawia w sali Teatru Miejskiego nic innego, jak właśnie „Damy i Huzary”.

Pierwsze przedstawienie było zarezerwowane dla gimnazjum Kasprowicza, z którego to wyszli inicjatorzy tego kółka. Dowiedziawszy się, że przedstawienie odbędzie się rano, i że lekcje przypadną, młodzież szalała z radości. Zapomniała o krytycyzmie, i tłumnie pospieszyła po bilety do kasjera, który wkrótce rozrywany na wsze strony, stracił głowę, lecz już po paru godzinach rozsprzedał wszystkie bilety „siedzące, stojące i wiszące”.

Pięć minut przed dziesiątą sala już była pełna. Widzowie byli z góry nastawieni na normalne i zdzierające się nawet u aktorów zawodowych spóźnienie. Toteż miłą niespodzianką był dla nich fakt, że zaledwie 2 minuty po dziesiątej światła zgasły, a trzeci dzwonek oznajmił zaczęcie premiery.

Przez dwie godziny rozgrywająca się komedia w wykwinicie, bogato i stylowo urządzonego domu majora zainteresowała nas bardzo, a gra samych aktorów, również charakterystycznie ubranych, oddała nam w zupełności obraz epoki, a także myśli i słowa Fredry. Osobami, które grały z największym wczuciem i chyba wrodzonym talentem były: gospodarz domu-major (Ostrowicki), rotmistrz (Gralik), siostra majora Orgonowa (Kacperska), oraz Fruzia (Szpulecka). Ta ostatnia doskonale odtworzyła nam typ fertycznej pokojóweczki z komedii francuskich i w dużej mierze przyczyniła się do

ożywienia trochę bladej akcji aktu pierwszego, a w dalszych aktach do rozbudzenia uczuć ospałych i flegmatycznych ordynansów.

Doskonałą parę klóćącego, ale w głębi ducha kochającego się rodzeństwa tworzyli major i Orgonowa. Ich grze można zarzucić tylko to, że chwilami zapominali o swym podeszłym wieku i występowali zbyt energicznie.

Bezsprzecznie królową drugiego aktu była partnerka rotmistrza Aniela (Matuszewska). Potrafiła ona znakomicie uwieść swym wdziękiem, talentami i emancypacją srogiego wasała, przeraźliwie strzelającego oczyma, a jednak jak się okazało, „płochliwego” rotmistrza.

Z trzech sióstr majora, które w drugim akcie zwymyślały kapelana, na wyróżnienie zasługuje Dyndalska (Ciemna), która także okazała się dobrym swatem i znawcą spraw miłosnych, jeśli chodzi o połączenie zgrzybiałego brata z Zosią.

Sam kapelan, który początkowo grał bez humoru i życia, i wyglądał na bardzo znudzonego, ożywił się w toku akcji i do końca spełniał dobrze swoją kapłańską i moralizatorską rolę. Pominięta dotąd milczeniem para zakochanych, Zofia (Kwitowska) i porucznik Edmund (Pech), graliby o wiele lepiej osobno, gdyż będąc sam na sam wobec wypełnionej sali, obawiali się, że publiczność (koledzy) posądzi ich o „prawdziwą” miłość. Dowodem ich tremy był fakt, że porucznik bez przejęcia recytował rolę zakochanego. Mając tak trwożliwego partnera, Zofia nie mogła szczerze wyrazić swych uczuć. Jedną tę usterkę trzeba złożyć na karb młodości i wstydlivości młodej pary.

Z kolei wypada też wspomnieć o grze pozostałych aktorów, a przede wszystkim dwóch ordynansów: Grzesia (Nowakowski) i Remby (Szczepański), którzy byli wiernymi podwładnymi i okazali najmniej talentu i rozumu, niż elita pułku. Wiele zamętu i wrzasku narobiły koleżaneczki panny Fruzi-subretki, którym nie można odmówić nieco piskliwych sopranów i poniekąd uwodzicielskich zdolności (scena z Grzesiem).

Reasumując wrażenia jakie wywarła na nas premiera, z przyjemnością stwierdzamy, że gdy tylko ukażą się afisze obwieszczające następne przedstawienie Teatru Szkolnego, młodzież i publiczność naszego miasta tłumnie wypełni salę. Liczymy także na to, że nie poprzestaną na tej jednej komedii, którą darzą jak prawdziwą manną całą okolicę i dadzą nam w przyszłości sztukę w bardziej poważnym tonie, z której pozostaną nam nie tylko miłe, choć nieco komiczne wspomnienia, ale także głębsze przeżycia, które pódniosą kulturę duchową i smak estetyczny słuchaczy i pozwolą, jak dotąd skonstatować, że niemało talentów ukrywa się wśród młodocianych amatorów.
C. i K.

Lekcja historii

Po dzwonku!

Wszystkie uczennice pospieszyły ze śpiewem do swoich klas, tylko jeszcze dziewczęta z czwartej kręcą się po korytarzach, zaglądają tu i ówdzie.

— „Macie kwiaty? — macie świerk? dajcie nam prędko coś zielonego! — bo u nas historia!!!”

Wreszcie po wielu trudach i bieganinie udało się nam zdobyć parę gałązek przywędłego bzu. Ale teraz nowe zmartwienie. Nie ma wazonu. Co robić?!

— Aha, na szafie znalazła Wandzia obtłuszczony słoik. A teraz lu, prędko po wodę.

Po paru minutach w czwartej klasie już cisza. Wchodzi pan doktor. Wszystkie stają na baczność. Zaraz po wejściu słyszy się donośny głos:

„W oczy patrzeć! panna się wstydzi?! nieczyste sumienie — trzeba stać wyprostowanym!”

„Hu! hu! duszno, czemu okno nie otwarte? — człowiek oddychać nie może!” „Takie młode niewiasty... — powinno być świeże powietrze!”

„Kacperska okno! Ścisłowska, czemu ta firana oberwana?! — kobiety powinny lubić porządek”.

Po chwili wylatują z szafy: płaszcze, chusteczki, czapki, parasole i papiery. Dyżurne na wyścigi zbierają wszystkie przedmioty. Uczennice chcąc odwrócić uwagę doktora od nieładu klasowego, wykrzykują jedna przez drugą:

— „Mamy nową! nowa jest!”

„Nowa meldować się!”

Nowicjuszka wstaje i mówi: „Jestem Alina Chróst”.

— „Czy panna Chróst nie umie się meldować?!”

Biedaczka pręży się przed katedrą i ponownie mówi: „Panie profesorze... melduje się Alina Chróst”.

— „Melduje się tytułami” — brzmi donośny głos.

— „Panie dyrektorze, doktorze, magistrze...”

Widzimy bezradne, a zarazem błagalne spojrzenie koleżanki, więc w imię solidarności wszędzie słychać podpowiadania dziewczynek.

„...Panie... poruczniku Wojsk Polskich” — to słowo działa jak balsam, bowiem szlachetna ta twarz przyozdabia się uśmiechem.

W końcu lekcja. Dyrektor siada przy biurku, przegląda dziennik i sprawdza obecność:

„Kacperska, Kapłowska, Kos... — Dlaczego kwiaty stoją w słoiku a nie ma dwóch wazonów? — kwiaty, kwiaty, młodzież! — panie powinny lubić!!! — czemu białe nie kolorowe, kolory powinny być dobrane”.

Po sprawdzeniu lekcja idzie dalej.

— „Na ostatniej godzinie mówiliśmy, mówiliśmy, gadaliśmy — o czym panna Kempaska?”

— „O faszyzmie — panie doktorze” odpowiada zapytana.

— „Dobrze, dobrze — a teraz zrobimy sobie krótką notatkę i powtórkę — co, co?”

— „Puf, puf — daty panie umieją? — I. olimpiada — Walkowska!”

— „776” odpowiada zapytana.

I tak idzie dalej.

Tymczasem za 10 minut dzwonek.

— „Puf, puf! gorąco, duszno, lekcji nie można prowadzić! Benedykcińska drugie okno!”; — „No a teraz poczytamy sobie konstytucję”.

Kacperska podaje książkę.

— „W imię Ojca i Syna i Ducha Wszechmogącego. — My panujący z łaski Bożej...”

Dzwonek!!!!...

„No, dalej-pomówimy sobie na następnej lekcji. — Wstać — wyprostować się! Adamska w oczy patrzeć! No, dowidzenia”.

„ZOSIA”

*W*szystkim tym, którzy przyczynili się do wydania naszej „Jednodniówki”,
a w szczególności firmom:

W. Bagaziński
Kujawska Olejarnia
Józef Kotwicki

Brodzińska
Zbigniew Knast
J. Paczkowski

składa serdeczne podziękowanie

Kolegium Redakcyjne Bratniej Pomocy

Korzystny zakup
Książek
i przyborów szkolnych

w firmie

K. Pietrzak

Księgarnia i skład papieru

Inowrocław, Plac 3 Maja 5

(obok Gimnazjum Męskiego)

HURTOWNIA KOLONIALNA

Ignacy Kubaszewski

INOWROCŁAW, ULICA POZNAŃSKA 4 - TELEFON 2088

Państwowe Przedsiębiorstwo Traktorów i Maszyn Rolniczych

Inowrocław, ulica Poznańska 12-18 - Tel. 1506, 1344

POLECA WŁASNEGO WYROBU

MANEŻE I PŁUGI POJEDYŃCZE
oraz różne części do trawiarek i wiązarek

Wykonuje na zamówienie różnego rodzaju odlewy żeliwne.

Władysław Paul

Skład żelaza i sprzętów kuchennych

Inowrocław, Rynek 12 - Tel. 1447

Restauracja

Europejska

poleca swą znaną kuchnię obywatelską

Wł. Żankowiak

Inowrocław, ul. Dworcowa 56

M. KRAJEWSKI
INOWROCLAW KRÓL. JADWIGI 10
KAWIARNIA I RESTAURACJA

Wytwórnia Cukrów

R. Walkowski

Inowrocław - Pl. 3 Maja 3

Telefon 1995

Spółka Fryzjerska

St. Mrówczyński i S-ka

Inowrocław, Król. Jadwigi Nr 14

*Pierwszorzędny zakład
dla Pań i Panów*

Wulkanizacja opon rowerowych

W. NOWICKI

Inowrocław, ul. św. Ducha 33

Pijcie piwa

z Browarów Zjednoczonych!

Państwowa Rozlewnia Piwa

i Wytwórnia Wód Gazowych

Inowrocław, Dworcowa 14 - Tel. 1360

Artykuły gospodarcze

LECH SWOROWSKI

Inowrocław, ul. Szeroka 2 - tel. 1924

Przedsiębiorstwo przewozowe

Seweryn Kwiatkowski

Inowrocław, Dworcowa 54 - Tel. 1424

Magazyny - Garaże

Państwowa Agencja Drzewna

„PAGED“

ODDZIAŁ W BYDGOSZCZY

SKŁADNICA W INOWROCLAWIU

UL. ŚW. DUCHA 53/8 - TEL. 1324

Poleca wszelkie materiały budowlane.

(KANTÓWKI - DESKI - SKLEJKI - DRZEWO

OPALOWE i DRZEWO DO GAZGENERATORÓW)

ROLNIK POLSKI

Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa z odpow. udz. Inowrocław

ODDZIAŁY: JANIKOWO I ZŁOTNIKI KUJAWSKIE

Zakup i sprzedaż wszelkich ziemiopłodów oraz dostawa
artykułów pierwszej potrzeby dla gospodarstwa domowego

Państwowe Zjednoczenie Przemysłu
Konserw i Przetwórnia Mięsna Nr 6
w Janowcu Wlkp.

Filia

Inowrocław, św. Ducha 80

Poleca znane w całej Polsce swoje wyroby
w cenach dla każdego dostępnych

Kupujcie wędliny

znane z jakości w firmie

Fr. Benedykciński

Inowrocław, Król. Jadwigi 9

„Flora“

Kurtownia

Drogerijno-Perfumeryjna

Czestaw Breliński

Inowrocław, ul. św. Ducha 30

Telefon 1080

U W A G A

ROLNICZY

Tel. 1494

Pierwsza i największa RZEŹNIA KONI

Kupuje stale konie na rzeź

Za tłuste konie płaci się ceny bezkonkurencyjne

Przy nieszczęśliwych wypadkach odbiera się natychmiast

K. LEWANDOWSKA z d. JAGGI

INOWROCŁAW, UL. ŚW. DUCHA 30

P. II. 641

1946